№ 20. Warszawa, 20 Maja 1910 roku. Rok III.

SPOŁECZEŃSTWO

TYGODNIK NAUKOWO-LITERACKI, SPOŁECZNY I POLITYCZNY.

PRENUMERATA w Warszawie: z odnoszeniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie k. 65. Numer pojedyńczy — kop. 15. **Z przesyłką pocztową:** Rocznie rb. 9, Kwart. rb. 2 k. 25. Za zmianę adresu k. 20.

„SPOŁECZENSTWO" wychodzi co piątek

Adres Red. i Administracji Wielka 1-a m. 1.

OGŁOSZENIA po kop. 15 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście kop. 30 za wiersz petitu. NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7, prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można w soboty i wtorki od g. 2 — 3 po południu. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

TREŚĆ NUMERU:

Czas odnowić prenumeratę na kwartał II-gi.

Redakcja i administracja „SPOŁECZEŃSTWA" przeniesiona została na

ul. Wielką Nr. 1-A m. 1.

(róg ulicy KALIKSTA).

Ażeby przyspieszyć ukończenie dodatku dawać będziemy od czasu do czasu, jak przy niniejszym numerze, arkusze podwójne.

RAZEM CZY ODDZIELNIE.

Obecnie już tkwi coś w nastrojach społecznych, co zaczyna usuwać przygnębienie porewolucyjne. Jest jakieś jądro, kiełkujące w zamkniętej twardej łupinie rzeczywistości, która rozsadzona jeszcze być nie może przez zarodek nowych czasów. Jednak już dziś te zmiany, odbywające się w głębi społeczeństwa, lecz nie dające się jeszcze ująć w słowa i w jasne określenia, pobudzają do pracy myślowej nad zagadnieniem dnia dzisiejszego i ściśle z nim związanego jutra. Pierwszemi wynikami tej pracy są odezwy kół postępowych, wzywających na łamach kilku pism do łączenia wysiłków na podstawie pokrewnych i minimalnych zadań i dążeń. Te samorzutne objawy potrzeby wspólnej pracy, wynikłe ze starcia poznanej rzeczywistości i zagadkowej przyszłości dni najbliższych, wskazują właśnie na to niesformułowane zagadnienie pracy społecznej, które powstanie prędzej czy później z siłą i domagać się będzie niedwuznacznego rozwiązania. Zagadnienie to, będące dziś jeszcze owocem podświadomego rozważania, narzuci się przedewszystkiem lewicy społecznej, która obecnie już obowiązana jest dać wyraz hasłu wspólnej pracy i przyjąć wyżej wzmiankowane odezwy nie jako objawy przygodne umiarkowanego i bezsilnego postępu, lecz jako symptomaty pewnych rodzących się potrzeb.

Hasło wspólnej pracy, które niejednokrotnie było już u nas podnoszone, jeśli jest wynikiem teoretyzowania i rozumowania nie na podstawie rzeczywistej konieczności, lecz na tej oderwanej zasadzie, że lepiej współdziałać, niż współzawodniczyć, będzie zawsze tylko hasłem, rozlegającem się w próżni i nie mającem żadnej konkretnej wartości. W naszych zespołach postępowych i lewicowych są ludzie, którzy wiecznie utyskują nad „niepotrzebnem" rozdwojeniem sił, które „bardzo dobrze" mogą być połączone, którzy ciągle wzdychają do tego upragnionego dnia, kiedy zacietrzewienie stronnicze ustąpi wyższej zasadzie jedności i kiedy doktrynerzy i demagodzy pojmą nareszcie, że „dobro powszechne" wznieść się powinno po nad uprzedzenia i ambicje prowodyrów partyjnych. Według tych ludzi przekleństwem naszego postępu są urojone różnice programowe lub sztucznie hodowane sprzeczności, które odrazu usunięte być mogą, jeśli wyrzekniemy się teoretyzowania i wnikniemy w treść rzeczywistości. Podobne mgłe i mgliste pojmowanie

zadań praktycznych i uparte narzucanie zasad bezwzględnej jedności pomimo faktycznych i głębokich różnic ideowych — niezdolne jest wytworzyć jakiejś trwałej podstawy dla działań wspólnych. Hasło współdziałania, o ile ma mieć pewne znaczenie realne, nie może być owocem pożądań czysto subjektywnych, które powstawać mogą zawsze bez względu na czas i przestrzeń, lecz musi mieć swoje objaśnienie i motywy w przedmiotowych warunkach, nadających mu pewną bardziej trwałą siłę i wartość. Takie hasło, jeśli nie zostanie nawet odrazu podniesioone, jednak nie przebrzmi bez echa i po niejakim czasie znów da się słyszeć ze zdwojoną siłą. Do takich haseł należy odezwa Zjednoczenia Postępowego, (podniesiona przez „Myśl Niepodległą" i „Kurjer Poranny"), wskazująca na potrzebę wspólnego działania w kwestji żydowskiej i w kwestji zakusów klerykalizmu. Odezwa ta w objaśnieniu psychologicznem staje się wyraźną i zrozumiałą. Zespół postępowy i lewicowy stanowi dziś względnie mały odłam społeczny. W teraźniejszym nastroju ogółu rozrósł się pierwiastek dzikiego egoizmu kast, zmierzający do podbicia i ujarzmienia umysłów i sumień. Klerykalnie nastrojona większość, zarówno katolicka, jak i żydowska, przemawia w tonie władcy, który tolerować nie może żadnej opozycji i żadnego oporu. Jest to stronnictwo świętoszkowego kunktatorstwa i pobożnego łupiestwa, które coraz dalej zarzuca kaganiec myśli, ukuty na zjazdach prefektów i w komisjach rabinów. Dziś to stronnictwo istotnie pokryło kraj cały i zagarnia olbrzymie tłumy pod poły sutanny i atłasowej kapoty. Kacerze, postępowcy i socjaliści zepchnięci w najbardziej oddalony kąt władzy i wpływ ów z podniesionemi rękoma zmuszeni są bronić się przed opadającym czarnym pokrowcem klerykalizmu. Siłą rzeczy zbici oni zostali w tym niewielkim jasnym punkcie, gdzie zachowuje się jeszcze niezależność sądu i myśli. Są to te szczupłe miejsca, dla których habit i kapota okazały się za krótkie i pomimo wszystko za szorstkie i zbyt cuchnące parafiańszczyzną i przewrotnością. Grupa kacerzy bez różnicy pochodzenia i przekonań wepchnięta dziś została w ślepą uliczkę, u której wylotu stanęły tłumy sklerykalizowane, grożące wcale nie na żarty śmiałym, odważnym i wciąż nieugiętym wystąpieniom wolnomyślicieli. Nic więc dziwnego, że w tym stanie rzeczy, wobec wspólnego niebezpieczeństwa, jednakowo groźnego dla zespołu postępowego, jak i lewicowego — powstają samorzutne próby, zmierzające do skojarzenia wysiłków dla wspólnego odparcaia *tego jednego* niebezpieczeństwa. Nic to nie znaczy, że apel kojarzenia tych wysiłków rozległ się w chwiejnym i oportunistycznym obozie, jak również nie ma w tej chwili żadnego znaczenia słabość liczebna Zjednoczenia. Jest jednak pewien zakres wpływów, którym rozporządzają grupy postępowe objęte przez Zjednoczenie i Kulturę Polską. Stosunkowo dość pokaźna liczba pism codziennych i tygodniowych (wychodzących w Warszawie i na prowincji) o wybitnych tendencjach antyklerykalnych związana jest ze sferą właściwej czytającej publiczności, która w jednym czasie w różnych miejscach przeżywa jednakowe pragnienia i dążenia, która w chwilach gniewu i oburzenia wyraża wielce pokrewne i wspólne popędy i skłonna jest drogą czysto odruchową do łączenia wysiłków, czego świadkami byliśmy kilka tygodni temu.

Takie wypadki, jak veto Puzyny, zamach w Kruszynku, proces Niemojewskiego sprowadzają ogniowe próby, przez które przechodzą z protestem na ustach rzesze czytelników wypróbowanych i ideowo związanych z prasą bądź co bądź postępową i wolnomyślną. Idzie więc o to, by odruchy te złączyć, skojarzyć, nadać im celowość i pchnąć je na tę drogę znaczenia społecznego, które osiągnąć można na wspólnej placówce działania. Brak sympatji w środowisku lewicowem dla Zjednoczenia i wogóle t. zw. postępu leży wpoprzek drogi bliższego porozumienia w tej sprawie. Lecz w chwilach ważnych, które bezsprzecznie przeżywamy obecnie, ujmowanie zagadnień wskazanych nie może zależeć od braku sympatji dla tej lub innej grupy postępowej. Fakt, że grupy te są antynacjonalistyczne i antyklerykalne jest już dostatecznym motywem do popierania ich wysiłków, jest wyraźnem wskazaniem, że tędy prowadzi droga naszego postępowania, nie bacząc na rozbieżność ideologji i na dobór ludzi w środowisku postępowem i lewicowem.

Bezwzględna negacja postępu i obdarzanie go wzgardą tylko dlatego, że nie jest postępem socjalistycznym — prowadzi w swych ostatecznych konsekwencjach do negacji polskiej demokracji mieszczańskiej. Nie mówiąc już o oderwanej zasadzie lewicy, polegającej na współdziałaniu z postępem mieszczańskim wówczas, kiedy wymaga tego dobro demokracji robotniczej — w konkretnym wypadku reguła wspólnego postępowania zastosowana być winna tem bardziej, że weszliśmy w wyjątkową konstelację warunków, grożącą wszystkim grupom postępowym. Groźba ta przestaje być znikomą, tkwią w niej pierwiastki, które w swym samorzutnym rozwoju dadzą się nam dotkliwie odczuć nie tylko w dniu jutrzejszym, lecz i znacznie później.

Henryk Lukrec.

EMERYTURY STARCZE WE FRANCJI.

Nareszcie Francja doczekała się emerytur państwowych dla starców. Od kilku już lat były starcom wypłacane minimalne zapomogi na zasadzie prawa tymczasowego, a byłyby wypłacane państwowe emerytury i to na zasadach daleko bardziej odpowiadających wymaganiom ludzkości, aniżeli się to dziać będzie na podstawie świeżo uchwalonego prawa, gdyby nie obstrukcja Senatu francuskiego, owej twierdzy klas posiadających Francji. Prawo, dotyczące emerytur robotniczych, rozważane było w Izbie poselskiej jeszcze od r. 1891, uchwalone ku zgorszeniu Senatu — w r. 1906, no i w tym samym roku przez Senat odrzucone. Po długich studjach, po przeprowadzeniu przez Senat ankiety, wyłoniły się ostatecznie 3 projekty prawodawcze: jeden projekt— izby poselskiej, drugi— Senatu, trzeci — będący kompromisem pomiędzy obu powyższemi projektami — projekt rządu. Ten właśnie ostatni projekt stał się kamieniem węgielnym uchwalonych emerytur; zresztą poczyniono w nim szereg zmian.

Emerytury mają być wypłacane dopiero od 65-go roku życia, — i to pierwszy, najważniejszy zarzut sta-

wiany projektowi przez socjalistów, którzy żądali, aby prawo do emerytury starcy nabywali od 55-go roku życia, a powoływali się na przykład Nowej Zelandji, Australji, Danji, gdzie starcy od 60-go roku życia pobierają emerytury. Od tegoż roku pobierać mieli emerytury starcy na zasadzie projektu francuskiego uchwalonego w r. 1906 przez Izbę.

Drugi zarzut stawiany uchwalonemu prawu przez socjalistów to to, że robotnicy płacić muszą za ubezpieczenie starcze połowę składek, drugą połowę opłacają przedsiębiorcy.

Zdaniem socjalistów praca musi zabezpieczać byt pracownika; starość muszą mieć obywatele zabezpieczoną przez państwo, a rzeczą tego państwa jest starać się o to, aby posiąść środki niezbędne dla tego zabezpieczenia. Socjaliści francuscy w danym wypadku wskazywali rządowi sposób zdobycia niezbędnych sum na ubezpieczenie zestarzałych obywateli: należy wprowadzić postępowy podatek od dochodów i zasadniczo w ten sposób zreorganizowawszy finansowość republiki, wprowadzić szereg reform demokratycznych. Takiej jednak reformie sprzeciwia się Senat stanowczo, a przypuszczalnie ta antydemokratyczna postawa Senatu wpłynie na rozrost ruchu we Francji, którego zadaniem będzie, idąc śladami Anglji, dążyć do zniesienia Izby wyższej, do ukonstytuowania rządów, opierających się na systemie jednostkowym.

Na zasadzie świeżo uchwalonego prawa o emeryturach każdy pracujący mężczyzna od 18-go roku życia opłaca podatek roczny 9 franków na rzecz ubezpieczenia na starość; kobieta płaci 6 franków, młodzież do lat 18-tu 4½ franka. Te same sumy opłacają przedsiębiorcy. Do każdej wypłacanej emerytury starczej państwo dopłaca po 60—120 franków rocznie.

Z powyższego widzimy, że uchwalone prawo, (jak zresztą i prawo niemieckie, dotyczące ubezpieczeń od nieudolności do pracy i starości), opiera się na kompromisie trzech zasad:

1) obowiązkiem społeczeństwa jest zabezpieczać starość obywateli, a zatem za emerytury płaci państwo;

2) obowiązek ten należy do pracobiorców; robotnicy zestarzeli się, pracując dla nich, wzbogacając ich kieszenie, a zatem ci przedsiębiorcy ponoszą koszty ubezpieczenia;

3) wreszcie — obotnicy, jeśli chcą mieć starość zabezpieczoną — muszą płacić; a więc prawo każe im płacić i nie uwzględnia tej najprostszej rzeczy, że jednak za ciężką pracę całego życia pracownikowi należy się zabezpieczenie starości, i ta należność jest jest jego prawem, że prawo to nabywa obywatel przez pracę swego życia, przeto wyzyskiem jest kazać mu to prawo kupować.

I *tego* świeżo uchwalone prawo nie uwzględnia, że fikcją być może opłacanie składek przez przedsiębiorców tam, gdzie obowiązuje „wolna" umowa pracy, gdzie robotnicy są niezorganizowani, jak to ma miejsce w wielu, bardzo wielu zapadłych kątach Francji; że przeto przedsiębiorcy z wszelką łatwością odbiją sobie nowy podatek na płacy zarobkowej, wypłacanej robotnikom.

W tym względzie lepszemi od prawa francuskiego są prawa angielskie, duńskie, nowozelandzkie, australijskie. Trzecim zarzutem, stawianym przez guesdystów i gieneralną Konfederację Pracy uchwalonemu prawu jest to, że obowiązywać ma dla wypłacania emerytur nie system repartycji ciężarów, lecz system kapitalizacji, mniej wprawdzie ryzykowny finansowy; ale daleko ryzykowniejszy politycznie. a poza tem kosztowniejszy, niepraktyczny, wpływający na nagromadzanie się olbrzymich kapitałów; administracja temi kapitałami jest rzeczą trudną, kosztowną, zwłaszcza we Francji, obfitującej w kapitały i tak wiele ich eksportującej zagranicę.

Ubezpieczonych jest ogółem 11 miljonów osób. Olbrzymia ta cyfra sama zupełnie dostatecznie wyraża, jak doniosłą jest dokonana reforma. (Ludność Francji wynosi 39 miljonów).

Prócz powyższych zarzutów zasadniczych prawu robione jest mnóstwo zarzutów, często bardziej ważnych od zarzutów natury zasadniczej; że tu wymienimy wady dla robotników najdotkliwsze: wysokość emerytury wynosi 335 franków rocznie—suma to śmiesznie mała, i o jej powiększanie musi się dalsza toczyć walka pomiędzy obozem robotniczym, a klasami posiadającemi; z innych wad prawa wymienić warto i upośledzenie robotników—cudzoziemców, którzy będą opodatkowani, nie będą jednak otrzymywali zasiłku państwowego, a ich przedsiębiorcy również nie będą obowiązani do płacenia za nich podatku emerytalnego, o ile w kraju z którego cudzoziemcy ci pochodzą, przedsiębiorcy i państwo nie opłacają odnośnych składek na emerytury robotników francuskich.

Zasada ta prawna stanowi niebezpieczny precedens dla robotników francuskich, którzy we współzawodnictwie z cudzoziemcami (zwłaszcza z europejskiego Wschodu, Włoch i Austrji) będą upośledzeni; fabrykanci bowiem chętniej przyjmować będą do do pracy tych cudzoziemców, ponieważ obecność ich nie będzie połączona z opodatkowaniem.

Takich wadliwości i ułomności prawa znalazłoby się więcej.

Reforma nosi wybitne piętno walki Senatu z Izbą, skąpstwa z potrzebami życia, a potrzeby te zadowolono w sposób wysoce niedostateczny.

Edward Grabowski.

ZWIĄZEK AKTORÓW.

Wiele wody upłynęło już od tego czasu, kiedy zabiegliwe kumoszki niemieckie usuwały suszącą się na powietrzu bieliznę na wieść o zbliżaniu się wędrownej trupy aktorów. Alarmujący okrzyk: „Chować bieliznę,—komedjanci idą!" przechował się jako *curiosum* w historji kultury. Ale pra-prawnuczki owych kumoszek drżą jeszcze dzisiaj ze strachu na myśl o tem, że synowie ich mogą wpaść w towarzystwo aktorek lub że ich córki mogą uczuć powołanie do wstąpienia na śliskie deski sceniczne.

Wielką rolę odgrywa tutaj niewątpliwie filisterska trwoga przed urojonemi niebezpieczeństwami karjery artystycznej, ale obawa ta ma pewne uzasadnienie rzeczowe.

Warunki naszego ustroju społecznego zakazują jak najsurowiej szczerego objawienia impulsów naturalnych. Ludzie o wzmożonej wrażliwości — właściwej ogólnie artystom — skazani są na nieustanną walkę z tem, co opinji burżuazyjnej podoba się nazywać moralnością.

Opinja ta uznaje tylko wartości materjalne, to też otacza swą sankcją małżeństwo „z rozsądku" i upaństwowioną prostytucję, jako konieczne dopełnienie współczesnej instytucji rodziny. Że prostytucja jest nieodłącznym korrelatem naszego ustroju stwierdzają tacy badacze, jak F. S. Hügel, Wichern, Patton, Tait, Parent-Duchatelet, Schmölder, Th. Bade, Bebel i wielu innych.

Pewna swoboda w życiu wewnętrznem świata teatralnego jest usprawiedliwiona dostatecznie mnóstwem podrażnień i podniet nieznanych spokojnym obywatelom. Już sam tremzyteryczny, przemijający charakter działalności scenicznej skłania aktorów do całkowitego oddawania się chwili bieżącej. Cechą zasadniczą zawodu jest konieczność możliwie zupełnego wcielenia się w sytuację, w giest, w słowo. Jest tutaj dążenie doześrodkowania jaknajwiększego zasobu

ducha i utrwalenia go na chwilę w danym zakresie formy artystycznej.

Napisano już tomy o chorobach zawodowych górników i robotników fabrycznych. Czy nie należałoby zbadać w podobny sposób zawodowej „niemoralności" aktorów?.. Może okazałoby się, że ci rzekomo tak wesołe życie prowadzący ludzie są ofiarami ustroju społecznego, kładącego swe piętno równie dobrze na instytucjach artystycznych, jak na urządzeniu kopalni i fabryk.

Nie wolno nam bowiem zapominać, że teatry są przedsiębiorstwami finansowemi, nawet te, które otrzymują rządową, dworską lub miejską subwencję, dla dydyrekcji stanowi więc kwestję bytu zjednanie jaknajlepszych (to znaczy: najbardziej przyciągających publiczność) sił za możliwie skromne wynagrodzenie. Wobec tego, że podaż na rynku pracy przewyższa tutaj zawsze popyt (mówię o siłach przeciętnej wartości)—wszystkie drzwi są otwarte dla wyzysku. Jeżeli dalej uwzględnimy nędzne dochody osiągane wogóle z imprez teatralnych, otrzymamy dane do uzasadnienia rozpaczliwych warunków materjalnych, w których żyją nasi aktorzy.

Szeroka publiczność roztkliwia się łatwo nad dolą panien sklepowych, które muszą stać przez dzień cały w magazynie, ale nie przyjdzie jej do głowy napewno zastanowić się nad tem, jak straszną walkę o kawałek chleba wieść muszą nawet cenione aktorki.

Suma dwustu rubli miesięcznie stanowi pierwszorzędne uposażenie aktorki. Przyjmijmy jako normę dwie premiery na miesiąc i przypuśćmy, że do każdej nowej sztuki potrzeba dwuch nowych toalet, a zatem—czterech na miesiąc. Obliczając każdą na 50 rubli (razem z kapeluszem, obuwiem i t. d.—suma nizka), otrzymamy wydatek dwustu rubli na miesiąc. Znaczy to, że *najwyższe* gaże pochłaniają całkowicie toalety. A należy zważyć, że *olbrzymia większość* aktorek nie otrzymuje nawet stu rubli gaży.

Dzienniki przyniosły już sprawozdanie ze zgromadzenia organizacyjnego Związku aktorów polskich scen prywatnych. Widzieliśmy na tem zgromadzeniu ludzi energicznych, przejętych chęcią osiągnięcia poprawy bytu dla siebie i dla swych kolegów. Są to nikłe i skromne zapoczątkowania, zapewne, ale w ten sam sposób powstały zrzeszenia aktorów na Zachodzie i stanowią tam dzisiaj siłę, z którą wszyscy muszą się liczyć.

Każdy, komu leży na sercu przyszłość sceny naszej, powinien poprzeć te pierwsze usiłowania. Szczególnie jest to obowiązkiem prasy bez różnicy przekonań. Może publiczność zrozumie nareszcie, że aktorzy mają też ludzkie prawa, że nie są tylko narzędziami chwilowej zabawki.

J. M. Muszkowski.

LEON CHOROMAŃSKI

DON JUAN ZAGROŻONY czyli POTĘGA TRADYCJI.

Dokończenie.

„Pewnego dnia powieziono mnie w karecie, by król jegomość miał szczęście poznać don Juana, bo ja znałem już twarz królewską z portretów. Obok siedział wielki ochmistrz—ten sam którego nos pęcznieje dotąd na mym dworze—od wysączanych z westchnieniami trunków. Dzień był słoneczny. Wielkie szyby błyszczały oślepiająco. Konie brząkały uprzężą. Niepokój kołysał me serce. Mnóstwo kolorowych markiz nadawało miastu pstry wygląd, przypominający błazeństwa Pierrota. Podniosłem głowę, ujrzałem na balkonie młodą dziewczynę. Spojrzała na mnie tak dziewiczo i przyjaźnie, jakby kochała mnie od wieków. Uśmiechnęła się do mnie jak sznur pereł, jak puszcza leśna. Na dworze królewskim patrzyłem, czy jej niema. Czekałem na nią. Nie ujrzę już jej nigdy...

Zwolna zniża się słońce. Topole gorzeją w blaskach. Zdaje się, że mnóstwo żółtych kwiatów wyszło nagle z łona ziemi i zajaśniało złotem.

Don Juan—ach, zawsze tak melancholijny, zawsze wśród mar i upiorów tylko!—wkracza na drogę, wijącą się wzdłuż rzeki. Tam niesie swe serce samotne jakby z nikłą, tajemną nadzieją, że się cud stanie, tam idzie—wśród pól z jednej strony i połyskującej wstęgi wodnej z drugiej...

Jest nadzwyczajnie duszno i gorąco. Niebo przybrało ołowianą barwę. Obłoki spiętrzyły się. Czekają, jak miedź rozpalona. Na ich widok don Juanowi stają w myśli najkrwawsze wersety Biblji. Woda zgęstniała i sunie jak szlam z tłustym bełkotem.

Nagle jego przygnębienie—przygnębienie potomka, osieroconego przez wspaniałych przodków — rozpływa się w nudę gorzką, nieprzejednaną, śmiertelną. Jak obcy patrzy z chłodnem obrzydzeniem na swe życie. Ceremonjał dworski, etykieta, próżniactwo, marzenie bezsilne, majestatyczna siwa ciotka, czterdzieści młodych dziewczyn zalotnych, płytkich, nieumiejących ukoić tęsknoty...

Położenie don Juana było ciężkie. Widział, że Bóg Najwyższy wspiera i błogosławi ród Maranów. Rozległe pola i winnice, lasy pełne zwierzyny, ogród o starych rozłożystych drzewach, podwórze wyżwirowane, na którem noga tak mily wydaje chrzęst—wszystko świadczyło o łasce. Zamek był starożytny. Poczerniały zegar wieżowy wskazywał jednak stale, że czas upływa i wydzwaniał surowym głosem godziny. I gdy poważny cień padał od wieży zegarowej na dziedziniec, gdzie tu i owdzie dzięki opieszałości służby wybijała się zielona, niewypielona trawka, don Juan uczuwał nagle konieczność i powagę trwania Maranów. Chwiał się w swej samotności i biernym uporze. Gotów był uznać swój błąd, ukorzyć się przed wolą ciotki i *zacząć życie*. Lecz na widok młodych pięknych osóbek cierpł w brew woli. Oburzał się milcząco. Czuł, że w niewinnych uśmiechach czai się zasadzka z góry uplanowana. To go męczyło. W ich obecności miał w duszy surowe, nieprzychylne milczenie. Rozmyślał, jak znaleźć wyjście z tego stanu. Niekiedy stawała mu przed oczyma nieznajoma z balkonu. Serce jego zalewało się radością. Żył przez chwilę w innym kraju i życiem innem.

Pewnej nocy ujrzał okno otwarte nad kipiącą gwarem ulicą. W oknie siedziała nieznajoma. Gdy go ujrzała, wychyliła się i z uśmiechem olśniewającej szczęśliwości rzuciła mu różę, która spadła na jego dłonie.

Don Juan obudził się. Czuł wyraźnie miękki upadek kwiatu na dłoni. Serce jego biło gwałtownem szczęściem. Wyciągnął ręce przed sobą. Chciał uczuć na nich drogi ciężar. Długo tak siedział w mroku nocnym. Łzy spływały mu po twarzy.

Od chwili tych łez pokochał nieznajomą. Odczuł wtedy podwójnie, jak jest samotnym w tym zamku i jak umieją być nieszczęsnemi godziny, te panie szare i smutne, ciągnące nieprzerwanym, tragicznym szeregiem.

Odtąd w duszy don Juana odbywał się proces tajemniczy, pełen rozkosznej męczarni: powstawała z martwych widziana niegdyś i zapomniana dziewczyna. Jak-

że pragnął ujrzeć ją znowu i tak właśnie, jak za pierwszym razem. Niech się nic nie zmieni—to samo niech będzie przechylenie głowy i rozchylenie warg i ten sam cień figlarny na szyi od bluszczowej gałązki. Wysileniem pamięci i tęsknoty wskrzeszał chwilę minioną. Na dalszy plan odeszła ciotka i młode dziewczyny. Cały świat się zmienił w nią—oczekiwaną i wywoływaną w najgłębszem skupieniu — i w chaos mroków, które sprzysięgły się, by ją pochłonąć. Don Juan walczył o nią. Była to pierwsza walka w jego życiu i nie bez krótkotrwałych zwycięstw Ach, ten jej uśmiech przedziwny! Widywał ją zawsze na tle miasta, strzelającego w niebiosa olbrzymiemi wieżami i kopułami, miasta niesłychanego potwornym rozrostem. Rozległy zielony ogród pochylał się w jedną stronę jak wachlarz. Potężny dzwon kołysał się na wieży i grzmiał uroczystą powagą. Po niebie szafirowem płynęły lekkie białe obłoki, jak nieprzeliczone stada ptaków. Nagle ukazywała się ona—na mgnienie oka. I przez to mgnienie dusza don Juana tonęła w upajającem zachwyceniu.

———

Pewne nocne zjawienie się nieznajomej stało się dla don Juana prawdziwem wyzwoleniem i przełomem. Świadczy o tem wiersz, który zarazem niech będzie dowodem, że ten blady młodzieniec ma stanowczo naturę poetyczną:

„Uśmiechy jaśniały
Obietnicami promiennej piękności,
Dusza ma była jak świetlane morze..
W oddali jasne zorze powstawały,
Pełen radosnej byłem żarliwości.

———

Byłem jak błogosławiony,
Zakosztowałem ciszy i ochłody,
Ze źródeł szczęścia piłem—ja spragniony!
Miłości mej zaszemrał potok młody.

———

Nie czułem nienawiści do nikogo,
Znużenie pierzchło jak złudzenie senne,
Cud w głębi duszy dopełniał się błogo,
Jak słońca myśli płonęły promienne!

———

Jam jej nie widział, lecz serce gorzało,
Bo była przy mnie — najmilsza z przeczystych!
Nowem jaśniałem życiem - duszą całą
Pieściłem ją wśród łez rzęsistych.

———

Szczęśliwe były łzy — zbawienia i pokoju...
Już dzień nieszczęsny nie zagrażał mi,
A com wycierpiał — w tęsknotach i znoju,
To było złudą — ale spadła rosa
Orzeźwiająca — smutek zmyły łzy.
Przez nią ma dusza zwiedziła Niebiosa!

———

Kiedy naokoło czuwa czterdzieści par uszu podsłuchujących, sercu trudno uchować tajemnicę. Ciotka i dziewczęta spostrzegły, że się coś święci. Wzrok don Juana lśnił blaskiem dawniej niewidywanym. Co najgorsza, nie widział już wcale dziewcząt Usuwał je z drogi ruchem grzecznym, lecz stanowczym. Wzburzenie rosło: „Do pioruna!-Ten młokos, zdaje się, nas lekceważy. Ani myśli o uwodzeniu. Na cóż więc kwitnie nasza piękna zalotność? Czy mamy czekać aż łaskawy Czas zacznie nas trapić zmarszczkami i oschłością humoru? Albo może zadawać się z dworzanami (pfe!) Jest on grzeczny. To prawda. Okazuje nam dużo szacunku! Ale na pękniętą krynolinę! Szacunek powinien mieć granice! Zbyt gorliwy staje się obelgą. A to ładny don Juan! (Jakże okropnie zmieniają się czasy)! Niechże się zdecyduje! Albo nas przeprosi i... albo powiedzmy mu: adieu! Rozjedziemy się... Na froncie zamku trzeba będzie zawiesić szyld z napisem:

Kto chce cnotę marynować.
Lub nadpsutą reparować,
Niech tu zechce udka schować.

Atmosfera — mimo etykiety — stawała się coraz parniejsza. Dziewczęta trzymały oczy utkwione w biustach. wzdychały, sznurowały usta. Ciotka na dobranoc coraz to solenniej całowała don Juana w czoło. Smutek był i powaga, jak zwykle w porządnym domu, gdy młodzieniec wchodzi na niewłaściwą drogę.

———

Młody chłopak nie powinien żyć jak trapista. O tem miał pouczyć don Juana pewien artysta-malarz, zgodzony po to, by był mu towarzyszem i portrecistą. Młodzieńcy po kilku tygodniach zawarli przyjaźń. Pewnego wieczoru zaczęli rozmowę — żartobliwą z początku. Potem zeszła ona na tor zwierzeń. Dusze ich zerwały tamy i myśli popłynęły swobodnie:

Nie wiesz, mój drogi — mówił don Juan—jak wszystko układa się we mnie w jednej płaszczyźnie, jak wszystko oświetla jedno i to samo tkliwe lub ironiczne słońce. Wydaje się nieraz, że siedzę na zapomnianych schodach, po których nikt już nie chodzi. Drzwi są zamknięte. A poza niemi jest jakby ludzkość cała, zmawiająca się na to, by nowe rozpocząć życie. Czuję się tak boleśnie osamotniony. A jednak pamiętam mą radość dziecięcą! Szczęśliwy byłem wtedy. Raz biegłem długim korytarzem ku promieniowi słońca na szybie. Nagle wiatr zdmuchnął promień. Potknąłem się i upadłem. Wydało mi się, że ktoś niezmiernie szybko szepnął mi do ucha i uciekł.—Może to była straszna tajemnica, bo odtąd stałem się smutny. Powietrze tego zamku nie służy mi. Wszystko w mych oczach jest tak małe i melancholijne. Pozostała mi tylko tęsknota i marzenie.

— Jakże pragnę — zaczął towarzysz — przelać w ciebie moją tryumfującą pewność. że życie jest cudem. Ja żyłem nieraz dziwnie i cudnie Świat jakby się wynurzał we mnie. W mej piersi wisiała kula niebieska jak w ogromach przestrzeni. Nie zakwitała jeszcze życiem, ale pełna była pulsującej energji. Mogłem zawinąć rękawy i tworzyć: bogów. demonów, złych duchów, koboldów, syreny, nimfy, rusałki, aniołów. Kwilenie ptaka na gałęzi i rzężenie umierającego miałem w sobie. Wszystko mogłem! Wbijałem oczy w mądrość niebieską, inne widywałem światy i taką od tego płonąłem rozkoszą, że dotykałem włosów, czy się nie palą Przesiadywałem godzinami, ciesząc się szczęściem nieokreślonem a bezbrzeżnem, bezbożnem szczęściem, które, zda się, zrabowałem wszystkim nieszczęśliwym. O zmierzchu tłumy duchów sunęły nademną. koło mnie. Niekiedy odsłonił się rąbek i widziałem oczy promienne doskonalszą rzeczywistością. To znów chwytała mnie tęsknota i płakałem z bólów ciemnych. Pytałem siebie: „Co się dzieje? Jak wielkie nieszczęście się stało?" Potem schodziła na mnie radość szalona. Biegłem z wiatrem na wyścigi, wdrapywałem się na drzewa; słuchałem jak las szumi, jak dzięcioł kuje, śpiewałem i śmiałem się... Me serce było to okrutne, to tkliwe. Roiłem w snach, że walczę z czemś ciężkiem, nieokreślonem, bezkształtnem. Widywałem czekające rozwarte ślepie i stawałem do boju. Lepkie, włochate macki obwijały się dokoła mej szyi. Odrywałem je, rzucałem cielskiem o ziemię. Pot lał mi się z czoła. Radosne męstwo biło w piersiach. Wreszcie omdlewał potwór bez nazwy. Ociekając juchą, prychając i mlaskając rozpraszał się i ginął...

Czy wiesz, mój drogi, co oznacza ferment niespokojny i twoja melancholja? Że jesteśmy bracia, że obaj chcemy innego świata. My go stworzymy, prawda?.. Daj rękę Wzywam twoją duszę, by zmartwychwstała! Czy odpowiesz mi: nie? Los cię przeznaczył na to byś żył na ruinach, lecz ty możesz i losowi rzec:

nie chcę! Przeszłość może być tylko przytułkiem dla znużonych, przyszłość - wszystkiem!

— Ty mnie wzywasz, mnie? Czyż ja nie jestem już upiorem?—zapytał don Juan.

— Musisz się odważyć. Nie chcę. Nie będziesz tu umierał. Rzucimy się w wir życia Pod grozą śmierci nauczysz się pływać. Otaczali cię tacy, którzy niby wiedzą wszystko, i którym to ich „wszystko" wystarcza. Przeklęli i wyplenili dążenie jako rzecz niebezpieczną. Zakrzepli, jak krew umarłych. Lecz są i inni ludzie. Poznasz twórców jutra i ich radosną tęsknotę!

— Jeżeli wierzysz we mnie, to weź mnie z sobą—rzekł don Juan.

— Młodzieńcy opuścili zamek. Wyszli tą samą furtą, którą tyle razy wymykał się don Juan po marzenia. Teraz wyszedł po nowe życie. Drżenie opanowało go, gdy groźny kadłub gmachu zamajaczył poza niemi w ciemnościach.

Tak don Juan porzucił siedlisko tradycji, majestatyczną ciotkę i czterdzieści niewiniątek, posiadających zmysł historyczny!

Jesień płakała w starym parku. Trzeszczały drzewa, jakby roje duchów obsiadały konary, przenosząc się hurmem z miejsca na miejsce.

Przyjaciel podtrzymywał chwiejącego się don Juana. Obrócił się i pogroził zamkowi pięścią. I płonącemi radośnie oczyma patrzył w głąb nocy, w której szemrały ginące liście jesienne.

ELIZA ORZESZKOWA.

Najwybitniejsi przedstawiciele kończącej się epoki schodzą do grobu. Opuszczają umiłowany zakątek ziemi, któremu poświęcili dar niestrudzonej, żmudnej i niezawsze wdzięcznej pracy umysłu i serca. Odchodzą nas zbyt wcześnie, chociaż w podeszłym wieku. Nie było im dane zebrać plon własnego zasiewu, ujrzeć chociażby zieleniącą się ruń na roli skropionej łzami własnemi i potem...

Eliza Pawłowska urodziła się w Maju roku 1842 we wsi Miekawszczyźnie o sześć mil od Grodna. Początkowo wychowywała się w domu pod opieką matki, a następnie po jej powtórnem zamążpójściu, pod opieką babki, Elżbiety Kamieńskiej. W roku 1852-gim utraciła jedyną siostrzyczkę, powiernicę i towarzyszkę zabaw i nauki; w kilka miesięcy później została oddana na pensję do pp. Sakramentek w Warszawie. Przebyła tam lat pięć, oddając się sumiennie pracy nad nielicznemi przedmiotami ubogiego programu szkoły. W pierwszym karnawale po opuszczeniu klasztoru została wydana za mąż za Piotra Orzeszko, człowieka, którego prawie nie znała. W Ludwiniowie, gdzie przebyła krótki okres swego pierwszego małżeństwa (1858—63), zetknęła się gronem ludzi, którzy rozbudzili w młodej, niedoświadczonej i lekkomyślnej mężatce aspiracje poważniejsze. W roku 1862 udało jej się wbrew wszelkim przeszkodom założyć szkołę ludową. W dwa lata później opuściła dom męża, aby powrócić do swej wsi rodzinnej. Tutaj poświęciła się poważnej pracy nad sobą i zaczęła działalność literacką.

W roku 1866 ukazał się pierwszy utwór Orzeszkowej p. t. „Obrazek z lat głodowych". Następne utwory: „Ostatnia miłość", „Rozstajne drogi", „Początek powieści", „Na prowincji", „W klatce", „Wesoła teorja i smutna praktyka", noszą charakter raczej studjów publicystycznych, niż dzieł sztuki. Żywsze zainteresowanie wzbudziły dopiero powieści „Pan Graba", „Pamiętnik Wacławy", „Marta" (1873), ale też przedewszystkiem dlatego, że traktowała w nich autorka tematy aktualne o poważnej doniosłości społecznej.

Działalność artystyczna Orzeszkowej rozpoczyna się od drobnych utworów, zebranych później w dwutomową całość p. t. „Z różnych sfer" (1880). W tej epoce zupełnej dojrzałości talentu powstały najlepsze dzieła autorki, jak „Cham", „Niziny", „Dziurdziowie", „Eli Makower", „Meir Ezofowicz", „Nad Niemnem", „Pieśń przerwana" i wiele innych.

Eliza Orzeszkowa nie należała do indywidualności silnych, poddawała się łatwo wpływom idej i stylów artystycznych. Ale ogromna głębia uczucia i wielkie wyrobienie intelektualne pozwalały jej zawsze znaleść drogę prostą i jasną. I szła z nią z podniesioną głową, zawsze w pierwszych szeregach. Hasłem jej pozostały do końca słowa, wyrzeczone w młodości: „miłością i pracą"! Za to hasło będzie czcił ją naród cały aż do dalekich pokoleń i każdy bez różnicy przekonań zgodzi się na to, aby imię jej wyryć złotemi zgłoskami na tablicy zasłużonych.

Obszerniejsze omówienie działalności Elizy Orzeszkowej odkładamy do następnego numeru.

Z DNA PRZEPAŚCI ŻYCIOWEJ.

III.

Orłowskie kazamaty.

. . . .

Przez kratę okna wagonowego wkradał się blask srebrnolicego księżyca. Rzucał na twarze i ściany fantastyczne koloryty i cienie, zatrzymywał się na zmęczonych, zaspanych twarzach więźniów,—zdawało się, otulał je i pieścił....

Zrywał się raptownie, niby wzburzony i mknął za siatką żelazną w stronę konwojnych; przesunął się po szablach i bagnetach, darząc ich połyskiem złowrogim, zatrzymał się, niby zadumany, zadrgał i szybko począł znikać, jakby lękiem jakimś zdjęty na widok tego, co ujrzał w siedzibie niewoli....

A za oknami wagonu, tam, na wolnem powietrzu, kusząco uśmiechała się trupio blada noc przezrocza i rozkoszna...

Czarowała mnie wprost całą potęgą swych wiecznie niezbadanych, a zawsze tajemniczo-pięknych głębin. Lśnią się, mienią i błyszczą śmieżnych pól obszary i mkną razem z wagonem w mglistą, lecz uroczą nieskończoność gwiaździstą. W szalonym pędzie, pokornie schyliwszy wierzchołki swych drzew, mkną i lasy urocze, ciemne niby sumienie Synów Mroku. Majestatycznie sunie i księżyc, wyglądający z za chmur szarych, jakby załzawiony. A chmury, niby skrzydła Duchów opiekuńczych, co chwila zasłaniały księżyc blady, jakby chroniąc go od bolesnych i strasznych widoków, które tu, w dolinie łez, szalały, jak opętane.

Leniwie otwierające się powieki opadały i sen mnie ogarniał szybko. Usłyszałem jeszcze jęczący turkot kół i senny łzawy szept jakiegoś więźnia.

... Mamo.... Mamo....

.... Jam w kajdanach....

Potem ciche, żałosne łkanie, i wszystko zcichło. A senne mary opanowały mnie całego . . .

. . . .

... Szybko strzelając i sypiąc gradem przekleństw i wymysłów, goniła mnie czereda zbrojnych ludzi... Co sił biegłem w stronę lasu. Do lasu, do lasu... powtarzałem, biegnąc... Śnieg skrzypiał pod zmę-

czonemi nogami i księżyc, zdawało się, z podziwieniem patrzał na szaleńca, uciekającego od tylu zbrojnych ludzi. A las już niedaleko... Za chwilę będę w nim... Nogi stały się okropnie ciężkie, jakby ołowiem nalane, lecz ja wciąż biegłem. Ostre, mroźne powietrze smagało mi twarz, a wiatr świszczał w uszach, wyciem złośliwem jakby szydził ze mnie i z taką siłą mną rzucał, jakby żywcem chciał mnie pochłonąć, lub oddać w ręce moich prześladowców...

Już wpadłem do lasu. Obejrzałem się. Prześladowcy moi byli daleko, bardzo daleko, tylko broń ich zdala połyskiwała, mieniąc się w srebrem świetle księżycowem.

Już byłem w lesie.

Zwolniłem biegu. Z radością witały mnie stare iglaste drzewa i przychylnie kiwały swemi wierzchołkami.... Wolność.... Myślałem, że oszaleję z radości. Spragnionemi wargami przypadłem do śniegu u podnóża jednego z drzew i z rozkoszą wchłaniałem w siebie orzeźwiającą wilgoć, a potem objąłem drzewo i korę jego całowałem. Płakałem i szlochałem z radości, wciąż z uśmiechem przez łzy wykrzykując jedno tylko słowo:

... Wolność.... Wolność...

A drzewa, zda się, z zachwytem w szumie swych gałęzi, powtarzały za mną to cudnie brzmiące słowo. Wtem, wionął wyciem złośliwem wicher szalony i otoczył mnie obrzydliwie wstrętnemi upiorami, ubranemi w sutanny, mundury, fraki i surduty.... Upiory te, ziejąc ogniem, smołą cuchnącą i jadem piorunującym, zaczęły tańczyć dookoła mnie, szyderczo i złośliwie wykrzykując:

.... Nasz niewolnik.... Nasz niewolnik....

Jęczałem wprost z rozpaczy. Potem skoczyłem do jednego upiora w mundurze, wyrwałem mu szablę i zatopiłem w piersi własnej....

Tuman zawlókł mi oczy i mgłą gęstą pokryło się wszystko... Zerwał się wicher i uniósł upiory. Pomknęły z szyderczym śmiechem na ustach wykrzywionych. A ja starałem się powstać z ziemi. Z bólem okropnym oparłem się na łokciach i zacząłem wytężać wszystkie siły, by podnieść się.

.... Obudziłem się....

Pot zimny kroplisty pokrywał mi czoło. Był już dzień. Więźniowie rozmawiali, pili herbatę, koła turkotały...

Więc to był sen tylko, nie rzeczywistość...

Tak, to był sen tylko, nie rzeczywistość... Ostatecznie nie wiedziałem, czy mam się cieszyć z tego, czy żałować.

Zabrałem się do picia herbaty. Pijąc ją w „prekusku”, rozmyślałem o dziwnym swym śnie, który tak okropnie mnie zmęczył, że i teraz jeszcze czułem się znużony.

Zbliżaliśmy się do jakiejś stacji, znajdującej się niedaleko od Orła. Pociąg stanął w oczekiwaniu paru więźniów etapem przesyłanych do Orłowskiego więzienia. Na peronie spacerował wysoki, chudy z wyschniętą twarzą telegrafista i pocztowy urzędnik o czerwonej, nabrzmiałej twarzy i fioletowym nosie. Telegrafista wyciągał parę rudych włosów, sterczących mu pod nosem, a pocztowy urzędnik wciąż poprawiał krawat, który kiedyś był biały, lecz zapomniał już te czasy.

Blisko, koło samego wagonu przeszedł włościanin w „tułupie” i w łapciach z łyka lipowego. Spojrzał na okna zakratowane, zdjął czapkę barankową i szeroko z rozmachem trzy razy przeżegnał się,—nie wiem w jakim celu. Myślę, że i on tego nie wiedział.

Przyprowadzono kilku więźniów, rozmieszczono ich w wagonach i pociąg za chwilę pomknął naprzód. Przesunęły się twarze telegrafisty i pocztowego urzędnika i znów pokazały się bezbrzeżne pola, czarne lasy, wsie i miasteczka. Blask słońca odbijał się w śniegu kolorami tęczy, szerokiemi smugami wkradał się i do wagonu, świecił, lecz nie grzał.

A otóż i przedmieście Orła—siedziba Orłowskiego „bosiaczestwa.” Brudne i zapleśniałe drewniane domy i obok nich, niby cienie, chodzą obdarci, wynędzniali ludzie.

Orłowski dworzec kolejowy. W wagonie jeszcze zakuto nas w „naruczniki” i wyprowadzono na peron. Następnie w szeregach poszliśmy w stronę więzienia, do którego od dworca było około siedmiu wiorst. Szliśmy przez centrum miasta—siedzibę bogatych kupców. Panował tu ruch bardzo ożywiony. Mnóstwo ładownych sani i ekwipaży sunęło we wszystkie strony. Na trotuarach tłumy wystrojonych ludzi — „gaspod”, patrzących na nas takim wzrokiem, jakim się patrzy na stary, zeszpecony przedmiot, który nam się już sprzykrzył i tylko „mozolit głaza”, jak mówią rosyjscy więźniowie.

Widać było po twarzach tych „gasyod”, że ani jęczący brzęk kajdan, ani brutalne okrzyki konwojnych nie wzbudzają w ich umysłach żadnego współczucia, lub głębszych myśli. Byli syci, czyści, uśmiechnięci i radzi z tego, że nie nad nimi, lecz nad nami się znęcają, nie oni, lecz my w kajdanach. I wstrętny uśmiech zadowolenia wykrzywiał ich pełne, bydlęce twarze.

Spoglądały na nas i kobiety strojne w jedwabie i atłasy, błyszczące złotem i brylantami. I w ich spojrzeniach wyczytałem tylko szukanie ładnych męzkich twarzy wśród więźniów. Znajdywały je i wówczas pożądliwy błysk i oczu wyraźnie mówił mi, że po za uczuciem samicy, do niczego niezdolne są te tępe, bezduszne istoty.

Swobodniej odetchnąłem, gdy weszliśmy w robotniczą dzielnicę miasta. Inny tu był już obraz. Brudne domy, ulice, brudni i ludzie, okryci najczęściej w łachmany. Lecz z tych brudnych twarzy wyzierały czyste myśli i uczucia...

A oczy z ludzkim współczuciem w naszą stronę skierowane, zda się, mówiły:

— My wam współczujemy, lecz niewidzialne kajdany, w które i nas, zakuto, nie pozwalają nam wyrazić swych uczuć...

Na jednej ulicy ruch tak się zacieśnił, że musiano nas na chwilę wstrzymać.

Zaraz otoczył nas tłum ciekawych.

Do jednego z katorżan podszedł jakiś zgarbiony staruszek o długiej, prawie do pasa, siwej brodzie, w króttkim rudym kożuchu i w „walenkach”, — wcisnął mu w rękę jakąś monetę miedzianą, mówiąc drżącym od starości głosem:

— Wozmi, arestantik, kupi siebie kałaczyka....

Potem pomału, nie śpiesząc, zaczął oddalać się. Skoczyli do niego konwojni. Machając szablami, grozili mu. Czerwony ze złości i oburzenia, dumnie wyprostował się starzec i silnym jeszcze głosem krzyknął do konwojnych:

— Jeśli wy nie Kainy, to mienia nie trogajtie....

Poczem zniknął w tłumie.

W niemądrem położeniu znaleźli się konwojni.

Stali w tych samych miejscach i nie wiedzieli, co mają robić.

Cała ta scena wywołała szmer uznania w tłumie.

(d. c. n.) *Emil— Wygnaniec.*

Na stypendjum im. Jadwigi z Szczawińskich Dawidowej: Zebrane przez p. S. Kaszera z Nancy 5 fr. 5o cent.

Redaktor i wydawca **Czesław Kryński.** Drukarnia Artystyczna K. Kopytowskiego i S-ki Nowy-Swiat 47.